

BLISKO pięć lat temu powstał w Radomiu teatr, Miasto — jedno z poważnych skupisk przemysłu, już wówczas liczące blisko 200 tysięcy mieszkańców — długi czas trwato jakby zapomniane: władze nie interesowały się jego potrzebami, nie zastanawiały nad jego przyszłością. Ślady owego zapomnienia widoczne będą w różnych dziedzinach jeszcze dość długo, tylko w dziedzinie, którą zagospodarowuje teatr, pustki już od pewnego czasu nie ma. Miasto przyjęło teatr i jest mu dotąd wierno. Nawet w czasie spektakularnych, politycznych strajków wokół WSI widownia zapełniała się, a i obecnie — mimo, iż „Pana Jowialskiego” zagrano już ponad 50 razy (bez objazdu) — oglądałem spektakl przy wypełnionej sali.

NA malej scenie, urządzonej w foyer na parterze, „Chory z urojenia” Moliere w reżyserii Józefa Słotwińskiego. W przeciwieństwie do młodszej generacji reżyserskiej Słotwiński, będąc mistrzem dawnego chowu, nie szuka w sztukach tego, czego w nich nie ma, tylko inscenizuje to, co w nich jest. W „Chorym z urojenia” tym czymś jest tragiczna farsa Argana — człowieka, który wmówił sobie, że jest chory. Możliwe, że za czasów Moliere Arganowie zjawiali się już jako typ i problem społeczny, jednak prawdziwą plagą stali się dopiero w czasach późniejszych. Nieodłącznymi towarzyszami Arganów są ich lekarze, wykrzystujący bezlitośnie wszystkie słabości chorych z urojenia. I tu właśnie moment osobliwy: chociaż Moliere rozprawiał się ze zjawiskiem hipochondrii, to jednak pisał o nim jak gdyby z pozycji pacjenta. Argan wydać się mógł tragiczny i śmieszny zarazem, lekarze natomiast stali się prawdziwymi ofiarami jego furii polemicznej i demaskatorskiej.

Owa usterka optyki sprawiła, że „Chory z urojenia” cieszy się od dawna złą sławą wśród lekarzy (zwłaszcza wśród złych lekarzy), a w środowisku teatru nieodmiennie bywa pretekstem

zabawy, uprawianej właśnie na koszt lekarzy. Dobrze to, czy źle? Trudno orzec. Interpretacja bardziej życzliwa dla medycyny z pewnością odebrałaby „Choremu z urojenia” wiele charakterystycznych powabów, a bez nich nie byłoby i całej komediofarsy Moliere. Dlatego słusznie zdecydował się Józef Słotwiński na mocne akcenty charakterystyczne, na wydobycie ze sztuki Moliere wszystkiego, co jest walorem i co sprawia, że widz — wyjąwszy zespół lekarzy — przyjmuje spektakl z wdzięcznością.

„Chory z urojenia” Moliere w Radomiu: przedstawienie oparte na ładnie skomponowanym ruchu (Barbara Fijewska), grane z nerwem, prawdziwie farsowo

w w zderzeniach sytuacyjnych i nieoczekiwanych kompozycjach charakterystyczności, zrazem zdyscyplinowane, pozbawione nadmiernych przerysowań, wystawia teatrowi dobre świadectwo. Ze nie ma wybitnych aktorów? Cóż, takich jest w ogóle bardzo niewiele, a w tym przypadku ważniejsze, że przyzwoicie zagrany spektakl pozwala dobrze mniemać o kwalifikacjach całej obsady — z wyróżnieniem zabawnego tria lekarskiego (Włodzimierz Manciewicz, Andrzej Iwiński, Stanisław Sparażyński), żywiołowej Antosi (Grażyna Suchocka) i

general-majora Tuza, ani żadne inne cuda umowności, promieniująca jasnym światłem pogody i życzliwości. Walna w tym zasługa znakomitej scenografii Karola Jabłońskiego, pięknie „rozmalowanej”, przypominającej staroświecki teatr kulisyowy. „Pan Jowialski” jako teatr, świadomy, ujęty w cudzysłów „teatralności” — okazuje się scenariuszem żywym, o zaskakująco świetnym humorze sytuacyjnym i słownym, w którym nie ma martwych miejsc. Nawet banalny zwykły watek Ludmira i Heleny zagrał wieloma barwami, czego nie doświadczyłem nawet w ostatnim poprzednim „Jowialskim”, jakiego widziałem — tj. w spektaklu Teatru Polskiego z Marianem Wyrykowskim.

Dojrzała, wyrazista osobowość aktorska prezentuje w zespole sztuki Maria Chruścielówna — w roli Szambelanowej, ale tego mogłem się być spodziewać, natomiast niespodzianką stało się spotkanie z nie znaną mi dotąd grupą aktorów, zwłaszcza z Ewą Pietras w nieoczekiwanie zniuanowanej roli Heleny, z Konradem Fulde brawurowej roli Janusza, a także z Markiem M. Ubyszem w roli Ludmira. Może nieco przesadził w gestyce i intonacji sympatyczny Jowialski Jerzego Wasiuczyńskiego — ale to mała usterka w przedstawieniu bardzo równym, rzetelnie zagrany.

WYJEZDZAŁEM z Radomia w przeświadczeniu, że w niespełna pięć lat ukształtował się tam teatr solidnej, dobrej roboty artystycznej, zasługujący na bacniejszą uwagę. Życzliwość widzów miejscowych już zresztą zdobył, czas więc pokazać się szerzej — może na jakim festiwalu, może podczas gościnnych występów w większych ośrodkach artystycznych?

MICHAŁ MISIŃNY

TEATR

Fredro i Moliere w jednym domu...

cokolwiek kostycznego, nierównego chwilami Argana (Krzysztof Kurza).

NA dużej scenie: „Pan Jowialski” Aleksandra Fredry w reżyserii Zygmunta Wojdana. Widziałem wiele prac Wojdana, wśród nich tak poważne, jak inscenizacje dramatów Krasieńskiego — jeszcze na scenie bydgoskiej, i muszę powiedzieć, że ten Fredro zdał mi się najlepszym jego osiągnięciem. Przede wszystkim uderza w przedstawieniu klimat: jakoś to trudno uchwytne, lecz istotna — na scenie rzeczywistość inna, „stworzona”, ale bardzo w sobie konsekwentna, w której nie dziwią żadne nagłe rozpoznania zaginionych synów